

Egzekucja

„Ten list to krew, a nie słowa” – brzmiało zakończenie listu. Listu wyjątkowego. Był jak niemy krzyk bezbronniego człowieka, świadomego tego co nieodwracalne. Pisany był nocą 16/17 listopada 1941 r. w celi więziennej w budynku przy ulicy Gęziej 24. Treści przyjmowała odwrotna strona prokuratorskiego aktu oskarżenia i wyroku wydanego przez Sąd Specjalny. Autor był zdeterminowany.

Dlatego wstęp do niego – by dotrzeć do umysłu najbliższej mu osoby – zaczynał się od takiej intonacji: „Kochana żono! Tylko przytomnie!”. I dalej krok po kroku wskazywał, co powinna zrobić, by przeżyć: gdzie pozostawił resztki „dóbr” rodzinnych, jakim sposobem zamienić je na żywność, do kogo zwracać się o pomoc, komu ufać, a kogo lepiej unikać. W zawartej w liście przestrzeni – pomiędzy „przytomnością”, a poczuciem nieuniknionej śmierci – starczyło jeszcze miejsca na nadzieję. Przeznaczoną wyłącznie dla odbiorczyni: „Nie wiem co się ze mną teraz stanie. Niech się to obróci na dobre i strach, którego doświadczyłem, niech się okaże pustym strachem”. Dlatego kolejny akapit – jak w testamencie – mówił o ostatniej woli autora: „W razie gdyby mnie rozstrzelano, niech mój ojciec załatwi miejsce na cmentarzu: miejsce osobne, nowy całun – wszystko jak być powinno”. Wiedział co go czeka za kilka godzin: „Źle się stało. Młoda krew pójdzie do ziemi tak wcześnie. Kiedy można było jeszcze przeżyć, trzeba iść do ziemi”. Skazany na śmierć nazywał się Josef (Josek) Pajkus.

Tej nocy był przy nim rabin Abraham Wajnberg. O tym, że przypadło mu towarzyszyć skazanym na śmierć do samego końca – egzekucji, dowiedział się kilkanaście godzin wcześniej. Nie wyznaczony lecz wylosowany przez przewodniczącego Judenratu, Adama Czerniakowa, gdy dowiedział się o tym, stracił przytomność. Potem – napisał rabin, Szymon Huberband – „błagał żeby go zwolnić z tego obowiązku”. Bezskutecznie. Taki był nakaz władz niemieckich. Na Gęsią 24 doprowadzili go ludzie z Żydowskiej Służby Porządkowej. Pierwsze czego doświadczył, gdy dotarł do więzienia, to szok na widok żydowskich porządkowych, szkolonych do bezpośredniego udziału w egzekucji. Kilku z nich płakało. „Na jednego skazanego wyznaczono trzech policjantów

– pisał świadek wydarzeń – Jeden miał związać nogi, drugi skrępować ręce a trzeci zawiązać oczy”. Wszyscy skazańcy – sześć kobiet i dwóch mężczyzn – byli umieszczeni w odrębnych celach. Rabinowi nie udało się z nimi porozmawiać: „Byli tak oderwani od rzeczywistości, pogrążeni w rozpacz. Nie rozumieli co do nich mówiłem”. Za wyjątkiem Josefa Pajkusa. Ten wprawdzie się wypowiadał, a potem przekazał rabinowi list. Pozostało mu już tylko przez kolejne, najdłuższe w życiu godziny czekać na dopełnienie wyroku.

Życie Żydów regulowały zarządzenia niemieckich władz okupacyjnych. W pierwszym z serii rozporządzeń regulujących pobyt w Generalnym Gubernatorstwie – z 13 września 1940 r. – mowa była o ograniczeniu ludności żydowskiej swobodnego wyboru miejsca zamieszkania i pobytu w Generalnym Gubernatorstwie. Była to zapowiedź zamykania Żydów w gettach. Drugie – z 29 kwietnia 1941r. – ograniczało prawo pobytu wyłącznie w gettach. Trzecie – z 15 października 1941r. – było uzupełnieniem poprzedniego: za pobyt poza gettem, po tzw. stronie aryjskiej, groziła kara śmierci. Afisze z tym obwieszczeniem zostało rozplakatowane w połowie pierwszej dekady listopada. Dlatego w przeciągu trzech tygodni, od wydania zarządzenia do jego upublicznienia, opuszczający getto bez przepustek nie wiedzieli jaka za ten czyn czeka ich kara. Szymon Huberband tak o tym wówczas pisał: „Bieda cisnęła. Śmiertelność w getcie, z powodu głodu, była wielka. Nie było nic do stracenia”. Kto potrafił, przekradał się przez granice getta. Pomimo, że niebezpieczeństwo było podwójne. Nie tylko ze strony Niemców. Nastął czas szmalcowników: „Setki Polaków, w tym wielu polskich policjantów i tajnych agentów, obstawiało wszystkie mury getta. W wielu wypadkach Polacy żądali od Żydówek, żeby im się oddały. Jak drapieżne zwierzęta agenci policyjni i wyrzutki społeczne czyhali na swoje ofiary”.

Nie wiadomo czy Josef Pajkus mieszkał w Warszawie od zawsze, czy jak dziesiątki tysięcy Żydów, pochodził z któregoś z miasteczek w Generalnym Gubernatorstwie, i do warszawskiego getta został deportowany. Z rodzicami, żoną i synem mieszkał na ul. Siennej. Z zawodu był szklarzem, z przymusu – drobnym handlarzem. A raczej tym, który z dnia na dzień ubożał, więc by przetrwać, wyprzedawał resztki majątku. Pod koniec października po raz kolejny – jak setki drobnych szmuglerów – przekroczył granicę oddzielającą tzw. stronę aryjską od żydowskiej. „Przeszedł, by kupić o dwa złote tańszy bochenek chleba” – relacjonował Leopold Lindenfeld, kierownik Centralnego Więzienia przy ulicy Gęsiej. Już wracał do najbliższych. Zabrakło mu szczęścia. Gdy

był blisko dziury wykutej w murze przy Siennej, dopadło go dwóch polskich policjantów: „Dostałem lanie – pisał do żony – tyle, ile trzeba”. Z posterunku granatowi odtransportowali go na Gęsią. Kolejne dni przyszło mu czekać na rozprawę.

Ta odbyła się 12 listopada. Przed Sądem Specjalnym – oprócz Josefa Pajkusa – stanęło jeszcze siedem osób: Luba Gac, Sala Pasztejn, Dwojra Rozenberg, Fajga Margules, Chana Zajdenwurcel, Chana Klugerman oraz Motek Fiszbaum. „Rozprawa” została przeprowadzona bardzo szybko, rutynowo. Nie mogło być inaczej. Wyrok znany był sędziom już od wielu tygodni. Zabrakło obrońców. Od sądzonych wymagano wyłącznie potwierdzenia danych osobowych. Każdemu prokurator odczytywał ten sam zarzut – nielegalny pobyt na tzw. stronie aryjskiej. Kilka minut później sędzia ogłaszał wszystkim jednakową karę – śmierć przez rozstrzelanie. „Skazani wybuchali płaczem”. „Prawo” zadziało wstecz. Sąd nie uwzględnił faktu, że Żydzi nie wiedzieli o trzecim rozporządzeniu więc nie mieli świadomości zmiany kwalifikacji „prawnej” swego „przestępstwa”. Ani nie uznał za okoliczność łagodzącą motywów, którymi się kierowali, opuszczając getto. Dwa dni po pokazowym „procesie” „rodziny wysłały [do gubernatora] depesze o ułaskawienie” – napisał Adam Czerniaków. Wyroki były ostateczne i niepodważalne: „Czynnik decydujący postanowił nie korzystać z przysługującego mu prawa łaski”. To była demonstracja siły.

„Proces” dobiegł końca. Przewodniczący Judenratu, Adam Czerniaków, pod tą datą lakonicznie odnotował: „Nie wiadomo, kto wykona egzekucję: Polska Policja czy Żydowska Służba Porządkowa”. Zapewne dotarła do niego pogłoska o żądaniu Heinza Auerswalda, komisarza „dzielnic żydowskiej”, by wyroki na Żydach wykonała żydowska policja. Jej szef, Józef Szeryński, miał odmówić posłuszeństwa: „Oświadczył, że gdyby mu nawet groziło rozstrzelanie za niewykonanie wyroku – donosił Emanuel Ringelblum – to i tak nie wykona go”. Auerswald w ostateczności odstąpił od pomysłu by, pod nadzorem Niemców, Żydzi stali się katami Żydów. Być może w obawie, że broni użyją przeciwko Niemcom właśnie? W ostateczności rola ta została przypisana polskim policjantom, tzw. granatowym. Na ochotnika zgłosił się Wiktor Zelek. Pozostałych do plutonu egzekucyjnego musieli wyznaczyć komendanci warszawskich komisariatów. Granatowych skierowanych na egzekucję było trzydziestu dwóch. Na jedną ofiarę przypadało trzech.

Gdy 16 listopada zapadał zmrok, plac więzienny był już przygotowany przez ŻSP do spektaklu: stała na nim drewniana ściana, a przed nią rząd umocowanych w ziemi słupków ustawionych od siebie w odległości metra. Wczesnym porankiem, 17 listopada, obraz miejsca egzekucji uzupełnił karawan, przed którym rozstawiono osiem trumien. Dochodziła godzina siódma. Gęsia z minuty na minutę ożywiała się. W okolicach więzienia gromadzić się zaczęły tłumy: „Na ulicy, pod więzieniem, roіło się od ludzi. Słychać było krzyki krewnych”. Nie byli sami: „Na ulicy pełno żydowskiej i polskiej policji – wspominał mieszkaniec Gęsiej – Na wszystkich balkonach jest mnóstwo ludzi. Wszyscy stoją smutni i zszepieni”. Tragedia zaczęła się dwadzieścia minut później. Przed bramą więzienną zatrzymywały się taksówki i wysiadali z nich niemieccy dygnitarze: „Idą na miejsce straceń. Na twarzach »aniołów zniszczenia« pokazał się uśmiech”. Równolegle żydowscy porządkowi z cel zaczęli wyprowadzać skazanych. Ci walczyli. Bezskutecznie. Wpierw przywiązywali ich do słupów, potem zasłaniali oczy. Po przeciwnej stronie, na odległość sześciu metrów, stanęli granatowi.

Nie wszyscy z plutonu egzekucyjnego pod dowództwem porucznika Kaczmarka byli gotowi wykonać rozkaz. Obecny przy nich płk. Aleksander Reszczyński, komendant Policji Polskiej Generalnego Gubernatorstwa w Warszawie, powiedział: „Chłopcy, głowa do góry. Trzymajcie się!”. Zaraz padł pierwszy rozkaz. Policjanci unieśli karabiny i wymierzili w stronę ofiar. W powietrzu nad Gęsią zawisły słowa szeptane chórem słowa: „Szma Israel!”. Po drugim rozkazie rozległy się dwie salwy strzałów. Osiem ofiar padło na ziemię. Jednak to nie był koniec tragedii: „Jeden z wysokich urzędników niemieckich wskazał na jednego z rozstrzelanych, który leżał na ziemi – relacjonował świadek wydarzeń, mieszkaniec Gęsiej, który z balkonu obserwował przebieg wydarzeń – Podszedł do niego komisarz polskiej policji i wystrzelił kulę”. Huberband tak podsumował ten akt: „Dokończył dzieła”. Chwilę później żydowscy porządkowi zajęli się zwłokami ofiar: „Z ciał zewsząd leciała krew. Ubrania były skąpane we krwi. Dużo krwi z nich ciekło”. Szybko przenieśli je do trumien. Dopiero w południe zostały umieszczone na karawanie i przetransportowane na cmentarz na Okopowej. Ofiarom w ostatniej drodze towarzyszył wielki tłum ludzi.

Następnego dnia na murach getta pojawiły się plakaty z informacją o zrealizowaniu wyroku: legalnym morderstwie dokonany na ośmiu osobach w wieku poniżej 40 roku życia. W

większości były to kobiety – matki, żony, córki. Wszyscy przekroczyli granicę getta, pragnąc kupić żywność. Mieszkańcy byli w szoku: „Żydzi są całkowicie zdani na łaskę losu, bezbronni, a ma to nawet sankcję prawną w postaci odpowiednich przepisów – stwierdził Huberband – Żydów można skazać na śmierć za grzech w postaci przejścia z jednej strony ulicy na drugą”. Być może na krótką chwilę ten potok, ludzi szmuglujących żywność, został wstrzymany. Wkrótce jednak wrócił do dawnego koryta. Ringelblum pod koniec listopada zanotował: „Szmuglerzy żydowscy w dalszym ciągu przełazą przez mury, albowiem wyrzeczenie się szmuglu skazuje ich – jak oświadczają – na śmierć z głodu”.

Dla Niemców egzekucja z 17 listopada 1941 r. była lekcją pragmatyzmu. Wiodła do niej zbyt rozbudowana droga. Herbert Hummel, zastępca gubernatora dystryktu warszawskiego Generalnego Gubernatorstwa uważał, że: „Procedura sądowa stosowana przez Sąd Specjalny uniemożliwia skuteczne odizolowanie getta. Całe postępowanie, aż po wykonanie wyroku, zajmuje zbyt wiele czasu, jest zbyt zbiurokratyzowane i trzeba je uprościć”. Już wcześniej nie brakowało przypadków, gdy do Żydów – bez formalności „prawnej” –strzelano bez ostrzeżenia. Jednak na przełomie lat 1941/1942 dominować zaczęły tzw. szybkie sądy doraźne. Odpowiednio zinterpretowane, nowe przepisy, udzielały formalnej sankcji ze strony władz sądowych i policyjnych. Pozwalały mordować bezbronnych. Jak pokazała bliska przyszłość, był to wstęp do „Wielkiej Akcji” – pierwszego etapu likwidacji getta warszawskiego.

dr Paweł Wieczorek

Autor: dr Paweł Wieczorek
Data publikacji: 2021-11-08
Data wydruku: 2023-05-28 07:29
Źródło: <https://1943.pl/artukul/egzekucja/>